

ALY MARTINEZ

Nowa seria Aly Martinez!

Znajdowali się w ciemności, ale tkwili tam razem.

Kiedy śłońce nie wstaje

The Darkest Sunrise #1



Tytuł oryginału

The Darkest Sunrise

Copyright © 2017 by Aly Martinez

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2023

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agnieszka Sajdyk

Korekta:

Karina Przybylik

Edyta Giersz

Maria Klimek

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-606-6

ALY MARTINEZ

**KIEDY SŁOŃCE
NIE WSCHODZI**

THE DARKEST SUNRISE #1

**TŁUMACZENIE
ANNA GURGUL**

OŚWIĘCIM 2023

PROLOG

Charlotte

„Kije i kamienie kości mi połamają, ale słowa nigdy mnie nie zranią”.

Ktokolwiek ukuł to powiedzenie, był bezwstydnym kłamcą. Słowa są często najostrzejszą bronią, jakiej można użyć. Potrafią wywołać najsilniejsze emocje, jakie człowiek jest w stanie odczuć.

– Jest pani w ciąży. – Tych słów nie chciałam usłyszeć, gdy zaczynałam pierwszy rok szkoły medycznej.

Tak, wiedziałam dobrze jak działa system reprodukcyjny człowieka, ale jednorazowy numerek po pijaku z facetem, którego poznałam godzinę wcześniej, miał się zakończyć inaczej. Na pewno nie liczyłam na pękniętą prezerwatywę i ciążę.

– To chłopiec – powiedziała pani doktor, gdy położyła zakrwawioną i piękną kupkę chaosu na mojej piersi dziewięć miesięcy później.

Raczej nie sądziłam, że jego płacz można uznać za słowa, ale dźwięki, jakie wydawał, całkowicie zmieniły moje życie. Jedno moje spojrzenie w te szare, niezdolne jeszcze do skupienia uwagi na czymkolwiek, oczy i nie byłam już nieczułą kobietą, która po prostu urodziła dziecko, bo tak chciał los. Stałam się matką z pierwotnym matczynym instynktem.

Sercem. Duszą. Na wieki.

– Lucas – wyszeptałam, trzymając całe trzy kilo i dwieście trzydzieści gram małego chłopca, którego już zawsze miałam chronić. Czułam aż do szpiku kości, że zrobię dla niego wszystko. Ale, jak dowiedziałam się o tym w kolejnych latach, nie wszystko podlegało mojej kontroli.

– Mówiąc wprost, pani syn będzie potrzebować przeszczepu serca – orzekł lekarz, kiedy pełni obaw, po długiej nocy spędzonej na pogotowiu, siedzieliśmy w gabinecie kardiologa.

W tamtej chwili, oddałabym Lucasowi moje własne serce. I tak czułam, jakby ktoś mi je właśnie wyrwał tymi słowami prosto z piersi.

Wiedziałam przecież, że nie wszystkie dzieci są okazami zdrowia. Ale on był mój. Rozwinął się we mnie tylko ze zbitki dzielących się komórek. Uformował się w niesamowitego człowieczka, który pewnego dnia miał utworować sobie swoją własną drogę w tym pokręconym świecie.

Dziesięć paluszków u rąk. Dziesięć paluszków u stóp. Moje kruczoczarne włosy. Dołączek w podbródku po ojcu. To dziecko, chociaż nigdy o nim nie marzyłam, stało się jedyną osobą, której potrzebowałam. Nie chciałam zaakceptować tego, że mógł być chory.

Kiedy lekarz już odszedł, Brady spoglądał na mnie z drugiego końca pokoju, przyciskając naszego syna do klatki piersiowej. Zaatakował mnie rozpaczliwym pytaniem:

– Mogą mu to naprawić, prawda?

Jednak to moja odpowiedź zabolala najbardziej:

– Nie.

Zbyt dużo wiedziałam o diagnozie Lucasa, by wierzyć w to, że ktokolwiek mógł mu pomóc od ręki. Pewnego dnia, prawdopodobnie przed jego osiemnastymi urodzinami, jego wątłe serce po prostu by się poddało, a ja byłabym

zmuszona beczynn timer przyglądać się, jak mój największy skarb walczy o życie. Wciągnięto by go na wściekle długą listę oczekujących na przeszczep, a my zaczęlibyśmy bolesny – a do tego moralnie wykańczający – proces oczekiwania na to, że ktoś umrze i wtedy nasze dziecko będzie mogło żyć. Wiedza nie była w tej sytuacji żadną siłą. Setki ludzi z listy umiera, zanim znajdzie się dla nich odpowiedni dawca. Nie wspominając o tych, którzy umierają na stole operacyjnym lub tych, których ciało odrzuca przeszczep i odchodzą już po kilku godzinach od jego otrzymania.

Oddałabym wszystko, by nie mieć pojęcia, co znaczą dla nas słowa lekarza. W szkole medycznej szcyciliśmy się statystykami uratowanych pacjentów. Tym razem jednak chodziło o mojego syna. On miał tylko jedno życie. Nie mogłam ryzykować tego, że może je stracić.

Nie chciałam liczyć się z tym, że ja go stracę.

Starałam się być optymistką, gdy przeżywałam najgorsze chwile swojego życia. Udawałam uśmiech, przyjmując słowa otuchy płynące od naszych znajomych i rodziny, a nawet uraczyłam kilkoma inspirującymi słowami Brade-go. On sam nawet nie zadał sobie trudu, żeby odwdziżyć się tym samym. W naszym związku czegoś takiego nie było, bo zwyczajnie okazało się, że kiedy byliśmy całkiem ubrani, to niewiele nas łączy. Niemniej jednak, po narodzinach Lucasa, staliśmy się czymś, co przypominało związek oparty na przyjaźni. Jego podstawa stała się silniejsza, gdy dodatkowo spłynął na nas ten sam strach przed przyszłością spędzaną w kolejnych szpitalach.

A właściwie, to było tak do czasu, kiedy jakieś sześć miesięcy później jedno niewinne słowo zniszczyło nas wszystkich.

„Kije i kamienie kości mi połamią, ale słowa nigdy mnie nie zranią”.

Kłamstwo.

Sylaby czy litery może i nie są namacalne, ale nadal potrafią zniszczyć czyjeś życie szybciej niż pocisk wystrzelony z broni palnej.

Jedno słowo.

Tyle wystarczyło, by słońce zgasło na moim niebie.

Trzy słowa – tyle wystarczyło, by słońce zgasło na moim niebie.

Nie ma go.

Ciemność pochłaniała mnie przez dziesięć lat.

Koniec końców, pięć słów, wypowiedzianych głębokim zachrypniętym głosem, dało mi nadzieję na kolejny wschód słońca.

Cześć. Nazywam się Porter Reese.

– Ćśśś – szczebiotałam, sięgając za uchwyt wózka dziecięcego, kiedy wkładałam z powrotem do jego ust smoczek zwisający z niebiesko-białej wstążki w kropki, na której było wyszyte jego imię.

Mój synek nie był w humorze przez całą noc. Wydawałoby się, że bycie takim sześciomiesięcznym dzieckiem nie jest ciężkie: ma się mleczny bufet, z którego można korzystać do woli, a także zespół ludzi gotowych na spełnienie każdej twojej zachcianki, włączając w to ulewianie i obsikiwanie wspomnianych przed chwilą osób. Mimo to życie wciąż wydaje się ciężkie.

To był pierwszy poranek jesieni, ale w powietrzu nadal czuć było upalne lato, tak charakterystyczne dla Atlanty.

Ledwo co utrzymywałam swój stan względnej świadomości, ponieważ mój czas był wypełniony po brzegi wizytami w klinikach i nieistniejącym planem snu Lucasa.

Mój chłopiec uwielbiał przebywać na świeżym powietrzu, a ja uwielbiałam fakt, że dzięki temu stawał się senny. Nieważne ile z tym walczył – na końcu i tak przegrywał. Tak więc z nadzieją, że uda nam się obojgu przemycić do dzisiejszego planu dnia poranną drzemkę, zapiełam go w przesadnie drogim wózku, który kupiła dla mnie na *baby shower* matka Bradego, a potem wyszłam z nim na spacer do pobliskiego parku.

Urokliwy plac zabaw znajdował się niecały kilometr od naszego domu i był moim ulubionym miejscem i dokładnie z tego powodu moja droga do szkoły codziennie wydłużała się o dodatkowe piętnaście minut. Teraz lubiłam przyglądać się bawiącym się tutaj dzieciom, wyobrażając sobie jak to będzie, kiedy Lucas będzie w tym wieku. Do głowy przychodziły mi obrazki, w których uciekał drabinkami przed hordą chichoczących dziewczynek. Aż sama się uśmiechałam do tych wyobrażeń. Czy mój syn będzie taki towarzyski jak ja? Czy raczej cichy i zdystansowany jak Brady? A może chory, uwięziony w szpitalu w oczekiwaniu na serce, które i tak nigdy się nie pojawi? Odrzuciłam od siebie ostatnią myśl, a desperacki kobiecy wrzask sprawił, że zamarłam.

– Pomocy!

Jedno słowo.

Nastąpiłam na hamulec wózka i obróciłam się w kierunku kobiety. Głos uwiązał mi w gardle, kiedy zobaczyłam, jak unosi z ziemi zwiotczone małe dziecko.

Adrenalina zaczęła krążyć w moich żyłach. Instynktownie podbiegłam kilka metrów w jej stronę.

– Nie oddycha! – wykrzyczała, gorączkowo przekazując mi nieprzytomne dziecko w otwarte ramiona.

– Proszę zadzwonić na sto dwanaście – nakazałam.

Mój puls przyspieszył, kiedy położyłam ciało dziecka na stole piknikowym. Lata nauki i doświadczeń podczas praktyk zalewały moją głowę w totalnym nieładzie.

– Co się stało? – zapytałam, odchylając głowę dziecka, by sprawdzić drogi oddechowe. Były otwarte, ale nie było czuć oddechu.

– Ja... Ja nie wiem – wydukała kobieta. – Po prostu upadł... O Boże! On nie oddycha!

– Proszę się uspokoić – wyrzuciłam.

Nie do końca jednak byłam pewna, do której z nas to mówię. To była moja pierwsza sytuacja ratownicza i chociaż na pewno byłam o niebo lepsza w tym, niż ktokolwiek w tym parku, to na jej miejscu wolałabym, żeby nad Lucą stanął ktoś bardziej wykwalifikowany.

Zebrała się dookoła nas grupa mam, ale żadna nie zaofiarowała pomocy. Byłam jedyną osobą, na której mogła teraz polegać, więc z duszą na ramieniu przystąpiłam do pracy, modląc się, że wystarczę tylko ja.

W ciągu kilku minut słaby płacz wydobył się z sinych ust chłopca.

Do końca życia nie zapomnę, jak jego matka płakała z ulgi. Jej szloch wydobywał się z samej głębi, jakby z wnętrza jej duszy.

– O Boże! – wykrzyczała, a jej dłonie drżały, gdy pochyliła się nad swoim dzieckiem. Oparła jego twarz o swoją szyję.

Zrobiłam krok w tył, by dać im przestrzeń. Płacz chłopca stawał się silniejszy. Nie byłam w stanie oderwać wzroku

od tego cudu. Ten mały człowiek był, jeszcze kilka minut wcześniej, jedynie pustym ciałkiem. Teraz kurczowo trzymał się szyi swojej matki.

Uśmiechnęłam się sama do siebie. Podbródek mi drżał, a łzy kłuły mnie w oczy. Było mi ciężko. Balansowałam pomiędzy trudami szkoły medycznej i powątpiewaniem w bycie samotną matką. To już było wystarczająco trudne. Ale dodając do tego dwunastogodzinne dniówki tylko po to, by wrócić do domu i uczyć się przez kolejnych sześć, szybko gasłam w oczach. Już nawet rozważałam taką możliwość jak zrobienie kilku lat przerwy w nauce, aż do czasu, gdy Lucas będzie odrobinę starszy.

Po przyjeździe ratowników pławiłam się w poczuciu, że cała moja ciężka praca i poświęcenie dały temu chłopcu drugą szansę na życie. W tej chwili na nowo powróciły do mnie wszystkie powody, dla których chciałam zostać lekarzem.

Pablo Picasso powiedział kiedyś: „Sensem życia jest odnalezienie swojego talentu. Przeznaczeniem życia jest go oddać”.

Wiedziałam to już w młodym wieku, kiedy mając siedem lat moja koleżanka obtarła sobie kolano, a ja usztywniłam jej nogę zanim poszłam zawołać jej mamę. Wtedy już wiedziałam, że medycyna to mój talent.

Teraz nastał czas, by oddać mój talent innym w potrzebie.

– Dziękuję! – powiedziała do mnie wyczerpana matka, kiedy się odsunęłam.

Poczułam się ożywiona tym zdarzeniem. Podziękowania tej kobiety obudziły we mnie na nowo determinację do tego, by walczyć o swoje marzenia. W odpowiedzi po pro-

stu pokiwałam jej głową, kładąc dłoń na szybko bijącym sercu, jakbym to ja powinna jej podziękować.

Kiedy straciłam ją z oczu za ścianą ratowników i gapiów, odwróciłam się i wróciłam do wózka Lucasa.

Zatrzymałam się w miejscu już sekundę później.

Nie było go tam.

Przeszukałam wzrokiem teren, zakładając, że pewnie w całym tym chaosie zakreśliłam się w kółko. Ale po kilku chwilach dotarło to do mnie. Coś było nie tak.

Okropnie, niezmiernie nie tak.

– Lucas – krzyknęłam, jakby mój sześciomiesięczny syn mógł mi odpowiedzieć.

Nie zrobił tego.

Tak naprawdę nikt nie odpowiedział.

Włosy mi się zjeżyły, a tętno zaczęło bić jak oszalałe. Świat dookoła mnie poruszał się w zwolnionym tempie, a ja kręciłam się w kółko. W głowie zaroilo mi się od mnóstwa możliwości, gdzie może być moje dziecko. Ale nawet w takiej chwili przerażenia wiedziałam, z całkowitą pewnością, że zostawiłam go w tym miejscu, zapiętego bezpiecznie w swoim wózku, tylko kilka metrów dalej.

– Lucas! – wykrzyczałam, a przerażenie wzrastało we mnie do niewyobrażalnych rozmiarów.

W panice podbiegłam do powoli rozchodzącego się tłumy.

Złapałam za rękę kobietę, zanim mogła mnie wyprzedzić.

– Czy widziała pani mojego syna?

W oczach pojawiło się zaskoczenie, pokiwała przecząco głową.

Podbiegłam do kolejnej kobiety.

– Czy widziała pani mojego syna?

Ona też zaprzeczyła ruchem głowy, więc próbowałam dalej, uczeplając się ludzi i błagając, żeby wreszcie skinęli twierdząco.

– Zielony wózek. Granatowa lamówka?

I znowu zaprzeczenie głowy.

Wzrok mi się zawęził, piekło mnie w przelyku, ale ani na chwilę nie przestawałam się ruszać.

Był tam. Gdzieś. Musiał.

Serce rozbiło mi się o żebra wraz z kolejnym przyptym adrenaliny pożerającym moje ciało. To, czego się obawiałam, stawało się rzeczywistością.

– Lucas! – zakrzyknęłam.

Miałam mętlik w głowie i całkiem pogubiłam się w logicznym myśleniu. Podbiegłam do pierwszego wózka, który zobaczyłam. Był różowy w białe grochy, ale przecież mógł być w środku.

– Hej! – Kobieta wykrzyknęła, kiedy zerwałam z jej dziecka kocyk.

Jej dziecka. Nie mojego.

– Lucas!

Żółć wypalała ścieżkę w górę aż do mojego gardła. Z każdą upływającą sekundą moje przerażenie rosło. Przejechałam dłonią po włosach, przeczesalam je, a w tym samym czasie paraliżująca niemoc wbiła swoje szpony w moje ciało i groziła, że powali mnie zaraz na kolana. Zmusiłam się, by ustać na nogach.

Zrobię dla niego wszystko.

– Lucas! – wykrztusiłam po raz ostatni, a fala drżenia przetoczyła się przeze mnie.

Jedno słowo.

Dla niej zadziało. Dla tej kobiety. Kiedy była zdesperowana i mogła stracić swojego syna, dałam go jej z powrotem.

Ktoś zrobiłby dla mnie to samo.

Musiał.

– Pomocy! – wykrzyczałam z całej siły.

Jedno słowo.

I wtedy cały mój świat zgasł.

JEDEN

Porter

– Tatusiu?

Tak?

Chciałem odpowiedzieć, ale zbyt głęboko tkwiłem w moim śnie, żeby wypowiedzieć jakiegokolwiek słowa na głos. Od tygodni tak naprawdę nie spałem. Byłem nawet bardziej niż wykończony, bo praca, bo dzieci...

– Tatusiu?

Tutaj, mała.

– Tatusiu! – wykrzyczała.

Usiadłem wyprostowany na łóżku, półprzytomnie rozglądając się po pokoju.

Stała w drzwiach. Miała długie kasztanowe skołtunione włosy i śmieszna koszulę nocną z Hello Kitty, w której upierała się spać każdej nocy od tygodnia. Zamiatła materiałem drewnianą podłogę.

– Co się stało, Hannah? – zapytałem, a przy użyciu wewnętrznej strony moich dłoni zacząłem ścierać sen z oczu.

– Travis nie może oddychać.

Trzy słowa, które spowodowały obudzenie się moich koszmarów. Prześladowały moje sny, a teraz żyły w mojej rzeczywistości.

Cisnąłem kołdrą i wyskoczyłem z łóżka. Gołe stopy obijały mi się o podłogę, kiedy pobiegłem w dół holu do jego pokoju.

Hannah spała z nim od kilku tygodni. Jej starszy brat zachowywał się jakby to była ohydna i niezwykła forma tortury. Wydawało mi się jednak, że tak naprawdę lubi mieć towarzystwo.

I pomimo że miała dopiero trzy i pół roku, to nadal było mi o niebo lepiej z tym poczuciem, że ktoś jest z nim w takiej nocy, jak ta.

Pchnąłem na oścież drzwi, jednak na tyle ostrożnie, by nie rozzerwać plakatu z Minecrafta, który zawiesiliśmy wspólnie wcześniej tego dnia. Pośpiesznie udałem się do jego łóżka, żeby odkryć, że jest puste.

– Trav? – zawołałem.

Odpowiedziała mi Hannah:

– Jest w łazience.

Kopniakiem ściągnąłem z mojej drogi pudełko klocków Lego, a następnie otworzyłem dolną szufladę jego nocnego stolika, żeby wydobyć stamtąd jego nebulizator. I nagle cała lawina pustych butelek po napojach sportowych wysypała się z górnego łóżka.

Wybiegając z pokoju dopadła mnie duma. To był mój chłopak. Chory jak nie wiem co, siedział w łóżku przez ostatni tydzień, a jednak wciąż w jakiś sposób udało mu się wykrzesać w sobie tyle energii, żeby całkowicie zaśmiecić swój pokój.

– Hej – szepnąłem, skracając w holu do łazienki.

Ścisnęło mnie w żołądku na ten widok. Jego szczupłe ciało usadowione było na krawędzi wanny. Zauważyłem jego przygarbioną sylwetkę. Łokcie opierał na udach, był zlany potem, a do tego blady. Głębokie ciężkie oddechy nie docierały do jego płuc, z każdym wdechem jedynie wyginały mu plecy.

– Proszę... Nie – wyrzucił z siebie.

Wiedziałem o co mnie prosił, ale nie byłem w stanie obiecać mu czegokolwiek.

– Ćśśś, pomogę ci. – Podrapałem go po jego ciemnych ściętych na krótko włosach i spróbowałem, najlepiej jak potrafię, udać spokój. Tak naprawdę gorączkowo zacząłem podłączać jego inhalator.

Był na antybiotyku cały tydzień, ale tym razem infekcja płuc nie chciała odpuścić. Kilka miesięcy wcześniej nebulizator Tralisa był jedynie drogim przyciskiem do papieru zbierającym kurz. Ale przez kilka ostatnich tygodni tak mu się pogorszyło, że musieliśmy kupić drugi zapasowy, który trzymaliśmy w jego pokoju.

Myślałem, że jest już źle, kiedy musiał mieć jedną inhalację w ciągu dnia, ale w tym momencie wykonywaliśmy nawet do trzech dziennie.

Mój syn miał jedenaście lat. W jego zwyczaju powinna być zabawa na zewnątrz, granie w piłkę, bycie małym nicponiem, który robi kawały dziewczynkom, które lubi. Nie powinien budzić się o trzeciej w nocy i próbować przeżyć. I z każdym upływającym dniem, kiedy to coraz bardziej zmierzał w nieuniknionym kierunku, stawałem się jeszcze mocniej przerażony, że pewnego dnia go stracę.

Grzechotało mu w płucach, gdy zaciągał się powietrzem. Dźwięk świszczącego oddechu dało się słyszeć w całym domu.

Włączenie nebulizatora spowodowało, że łazienkę wypełnił znajomy szum.

– Uspokój się i spróbuj oddychać – wyszeptalem.

Serce mi się krajało, kiedy wkładałem mu ustnik pomiędzy wargi, a jego blada, drżąca dłoń uniosła się do góry, by przytrzymać go w miejscu.

Jezu. Tym razem było naprawdę źle.

Opadłem na zimne kafelki przy jego stopach z sercem w gardle, a potem ułożyłem rękę na jego udach. Mój chłopiec był wojownikiem, więc nie za bardzo wiedziałem czy moja obecność mu pomaga, ale dla mnie taki kontakt działał cuda.

Zsynchronizowałem oddech z jego i już w ciągu kilku minut kręciło mi się w głowie. Nie potrafiłem sobie wyobrazić jak on wciąż jeszcze siedział.

Boże, proszę. Za to, ile przez ostatnie trzy lata targowałem się z Panem Bogiem w zamian za zdrowie Tralisa, dawno powinienem był już zostać księdzem.

Imadło ścisnęło moją klatkę piersiową. Inhalacja nie pomagała. Albo przynajmniej nie pomagała na tyle szybko, na ile było to potrzebne.

Przez mój brzuch przeturlało się przerażenie. Znienawidzi mnie. Ale to ja byłem rodzicem, moim zadaniem było podejmować te trudne decyzje – nawet jeśli miały mnie one zniszczyć. Jego ból i wysiłek przetaczały się też i przez moje żyły. To nie była tylko jego walka. Oddziaływała na nas wszystkich. Jeśli cokolwiek by mu się stało, musiałbym nosić w swojej duszy tę wyrwę do końca swoich dni.

Obiecałem mu, że zajmę się nim. Nie obiecałem jednak, że zajmując się nim, będę jego przyjacielem.

– Hannah, czy mogłabyś przynieść telefon tatusia?

– Nie – wykrztusił z siebie Travis.

Przymknąłem oczy i oparłem głowę o jego ramię.

– Kolego, tak mi przykro.

– Nie... Pojadę... Nie – wycharczał.

Głośno przełknąłem ślinę, starając się ukryć emocje, które brały nade mną górę. Upchnąłem je do wewnątrz. Musiałem być silny na tyle, by być takim dla nas wszystkich – i nieważne, że części mojego serca rozbijały się właśnie o podłogę.

Nie mogłem przechodzić przez to jeszcze raz.

Ale nie mogłem też i nie przechodzić tego jeszcze raz.

– Musisz pojechać, Trav.

Podskoczył na te swoje słabe nogi, jednak jego równowaga nie była w formie i zaczął lecieć do przodu.

Wychyliłem się i złapałem go wokół pasa zanim rozbiłby głowę o toaletę. Nebulizator zastukał o podłogę, ale nadal szumiał, kiedy mój syn próbował ze mną walczyć.

Jego ruchy były ociężałe, a dłonie powolne, lecz z każdym uderzeniem, które mi wymierzał, przypominał coraz bardziej dobry materiał na mistrza boksu. Tylko Bóg raczy wiedzieć, jak bym chciał zostać znokautowanym, gdyby go to miało uspokoić.

– Przepraszam – wymruczałem, przyciągając go do swojej klatki piersiowej.

– Nienawidzę cię – wykrzyczał, bo wciąż nie chciał się poddać.

To nie była prawda. Travis mnie kochał. Byłem tego pewny, tak jak tego, że niebo jest niebieskie. Ale jeśli potrzebował ujścia dla swojej złości, to zawsze byłem gotowy, by mu w tym pomóc.

Przycisnąłem go lekko.

– Tak mi przykro.

Nie odwzajemnił mojego uścisku, ale nie potrzebowałem, by to zrobił. Potrzebowałem jedynie, żeby wciąż oddychał.

Kiedy Hannah pojawiła się z moim telefonem, poprowadziłem Travisa, by usiadł na toalecie.

Tak, jak tego oczekiwałem, płakał. Nie mogłem go za to winić. Też chciałem się, kurwa, rozpląkać.

To nie było fair. Nic takie nie było.

Podniosłem telefon do ucha, a następnie nacisnąłem zieloną słuchawkę. Gdy czekałem na połączenie, schyliłem się

i pozbierałem z podłogi plastikową rurkę, by natychmiast podać ją synowi.

– Skończ to i pojedziemy do szpitala.

Wlepił we mnie wzrok, posyłając mi ten „przednastoletni” charakterny wzrok, który wydaje się być zaprogramowany w dzieciach na tego typu okazje. Jednak był zbyt słaby, żeby wyrwać mi rurkę z dłoni.

Zaspane „Halo?” dobiegło mnie z telefonu.

– Mamo, hej, czy mogłabyś przyjechać do szpitala i odebrać stamtąd Hannah?

Jej łóżko zaskrzypiało. Pewnie właśnie z niego wstawała.

– Jak bardzo jest źle?

Rzuciłem szybkie spojrzenie w kierunku Travisa. Widziałem jak zatacza się z każdym kolejnym oddechem. Nie chciał na mnie spojrzeć, ale słuchał.

– Hannah, zostań z bratem – zarządziłem, wychodząc z łazienki.

Nie odpowiedziałem na jej pytanie do czasu, aż nie byłem w swojej sypialni. Udałem się od razu do szafy, przebrałem w koszulę i dżinsy, a potem założyłem sportowe buty.

– Dosyć kiepsko.

– O Boże – wyszeptała. – Dobrze, okej. Już jadę. Pośpiesz się, ale uważaj na drodze.

Przeszedłem do komody, żeby zgarnąć stamtąd swój portfel i klucze. Przymknąłem oczy, uciskając grzbiet nosa.

– Ta. Ty też.

Odetchnąłem z nadzieją, że uspokoi to pustkę, która bolała i wydawała się już mi nie odpuszczać od dawna, a potem otworzyłem oczy.

Catherine na mnie spoglądała z niezmiennym uśmiechem.

Nie byłem pewny, dlaczego zostawiłem to zdjęcie na komodzie. Wmawiałem sobie, że to dla dzieci. Żeby czuły,

że jest jakby nadal częścią naszego życia. Pomimo tego, że przecież byliśmy teraz tylko we trójkę.

Podniosłem zdjęcie. Uśmiechała się do obiektywu, a jej brązowe oczy lśniły od emocji. Travis tkwił owinięty w koc, miał jedynie kilka godzin i był ułożony w zgięciu jej ręki. Przebiegłem palcem po czubkach jego ciemnych niesfornych włosów, jakbym mógł je w ten sposób uczesać, ale mój wzrok uciekł w stronę jego matki. Minęły tylko trzy lata od jej śmierci, a tak wiele się zmieniło.

Ona by wiedziała, co począć z Travisem. Jak go uleczyć. Może nie fizycznie, ale psychicznie. Pamiętam, kiedy miał swój pierwszy epizod. Ja biegałem po domu, gorączkowo dzwoniąc na numer ratunkowy, a ona w tym czasie siedziała obok niego, masowała mu plecy, szeptała słowa pocieszenia w jego włosy. Cierpiała, ale trzymała w ryzach swoje emocje dla niego. Mnie opanowanie tej umiejętności zajęło ponad trzy lata. Zawsze dobrze potrafiła odczytać jego humor. Racjonalnie tłumaczyła mu powody, dla których przyjmuje leki. Jeśli czegoś potrzebował, to ona instynktownie wiedziała, o co chodzi. Często myślałem sobie, że widok tej dwójki razem to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie mogłem ujrzeć.

Ona nie popełniała błędów. Ani się nie wahała. Ona była opoką.

Ja nie byłem jak Catherine. Byłem słaby i wycieńczony, a do tego tak cholernie przestraszony...

Ale, nawet kosztem własnej ruiny, byłem zawsze dla niego. To nigdy by się nie zmieniło. Więc nie, nie byłem ani trochę jak Catherine.

Słyszając, że Travis wyłącza nebulizator, odłożyłem zdjęcie na komodę i popatrzyłem mojej żonie w oczy, szepcząc:

– Kurwa, tak bardzo cię nienawidzę.